

CZEŚĆ II

MY, WSPÓLNOTA POD KRZYŻEM

ŻAŁOBA I TESTAMENT

+

Rozpoczynamy II część naszych rekolekcji. Pierwszą część poświęciliśmy rozeznaniu nas, Kościoła w czasie zarazy. Ten czas jest czasem niewyobrażalnego do niedawna zagrożenia. Ale jest też – dla nas wierzących – znakiem. Znakiem, przez który Bóg przemawia. On wzywa nas.

Błędem jest próba marginalizowania Boga w tym czasie, poddawania Go kwarantannie, nadmiernego ograniczania dostępu do Niego. Przecież właśnie ten stan, w którym się znaleźliśmy, pokazuje nam, czym jest i czym może być nasz świat wyjałowiony z Boga. Ta jałowość tworzy podłoże dla złowrogiej pandemii.

Bóg przemawia do nas, nawet jeśli Go izolujemy. Przemawia choćby przez pamięć o minionych wiekach, w których uczniowie Chrystusa w obliczu kryzysu nieśli poczucie sens, gesty konkretnej miłości miłosiernej i wyrwali z izolacji, tworząc poczucie więzi.

Kończyliśmy nasze refleksje myślą może zaskakującą – Chrystus zawiązuje wspólnotę Kościoła nie w warunkach komfortowych, ale w warunkach kryzysu, największego z możliwych – kryzysu krzyża i śmierci Jego samego, Założyciela Kościoła.

Czy nas to dziwi? A czy nie warto zwrócić uwagi na trzy daty, które nas dotyczą w sposób bardzo świeży, konkretny.

Rok 2005 – śmierć Papieża i nasza żałoba.

Rok 2010 – śmierć przedstawicieli naszego państwa w katastrofie smoleńskiej i żałoba narodowa.

Rok 2020 – pandemia wirusa, która nas dotyka i stawia na granicy życia i śmierci.

W każdym z tych dramatów, stawaliśmy się i stajemy bardziej wspólnotą. Stajemy się bardziej ludzcy, bardziej solidarni, bardziej mądrzy i dobrzy. Czy to nie zastanawiające?

Rok 2005 to była swoista lekcja *ars moriendi*, sztuki umierania, której udzielił nam św. Jan Paweł II.

Kilka dni przed Papieżem, 31 marca 2005 roku zmarła w USA Terri Schiavo. W roku 1990 Terri Schiavo doznała ciężkiego zawału serca i chwilowego zatrzymania jego czynności. Powstało wówczas niedotlenienie, które doprowadziło do nieodwracalnego uszkodzenia kory mózgowej. W wyniku akcji reanimacyjnej organizm kobiety podjął samodzielną pracę serca i płuc, jednakże Terri na stałe pozostała w stanie utraty świadomości. W 2005 roku, po długich staraniach męża 41-letniej wówczas kobiety, sąd na Florydzie podjął decyzję

o zaniechaniu jej żywienia i polecił usunięcie zgłębnika. Nie ocalił jej sprzeciw rodziców, a nawet interwencja Kongresu i prezydenta USA. Terri Schiavo umarła 31 marca 2005 roku, po kilkunastu dniach od chwili odłączenia jej od zgłębnika, przez który była żywiona

Można powiedzieć, że jej śmierć stała się obrazem współczesnego modelu śmierci zdziczałej.

Taka śmierć jest efektem wzajemnego przenikania się, a zarazem konfliktu między optymizmem płynącym z wiary w moc technologii, a utraconą wizją scalającą świat. Taka śmierć przejawia się w jej spychaniu w nicość ontologiczną i aksjologiczną, odczłowieczeniem pacjenta, umierającego, medykalizacją choroby.

I oto – w obliczu tej śmierci Amerykanki, która była jakby potwierdzeniem naszego stanu ducha, naszej cywilizacji, Jan Paweł II przywrócił nam prastary i piękny obraz śmierci oswojonej.

Końcowy etap choroby Jana Pawła II zaczął się w czwartek, 31 marca wieczorem. Wskutek infekcji dróg moczowych nastąpiła zapaść sercowo–naczyniowa, połączona z bardzo wysoką gorączką. Zdając sobie sprawę z tego, że niedługo może umrzeć, Papież przyjął święty wiatyk, czyli komunię udzielaną umierającym, której udzielił mu kardynał Marian Jaworski.

Następnego dnia stan zdrowia Ojca Świętego pogorszył się jeszcze bardziej. Wystąpiła niewydolność sercowo–naczyniowa, spadło ciśnienie krwi, oddech stał się płytki, a nerki funkcjonowały coraz gorzej. W przerwie między atakami choroby Papież podpisał nominacje dla kilkunastu biskupów krajowych i nuncjuszy. Tymczasem pod jego oknem w Pałacu Apostolskim zgromadziło się na modlitwie ok. 100 tysięcy – głównie młodych – ludzi. Jan Paweł II, wiedząc o młodzieży czuwającej na placu Św. Piotra w niemal niesłyszalny sposób skierował do niej słowa podziękowania: "Szukałem was, teraz wy przyszlście do mnie i za to wam dziękuję".

2 kwietnia, w sobotę, Jan Paweł II ok. 15.30 bardzo słabym głosem wyszeptał: "Pozwólcie mi iść do domu Ojca". To były jego ostatnie słowa.

Ok. godz. 21.52 dziennikarze zaczęli informować, że Jan Paweł II chyba nie żyje. Wątpliwości w tej kwestii rozwiały się tuż przed 22, kiedy to na plac Świętego Piotra wyszedł argentyński biskup Leonardo Sandrii, oznajmiając wszystkim obecnym: "Nasz ukochany Ojciec Święty Jan Paweł II powrócił do domu Ojca".

I w tym momencie stało się coś – przynajmniej z punktu widzenia naszych, polskich przyzwyczajzeń – zupełnie nieoczekiwanego. Powietrze na Placu Św. Piotra i w jego okolicy wypełnił gigantyczny huk braw. Tak właśnie Włosi swym starym zwyczajem żegnali człowieka, który "przeżył piękne życie". W chwilę później zabrzmiał największy dzwon Bazyliki Św. Piotra, obwieszczając światu śmierć 264 Papieża.

„Amen”. Taki był podobno ostatni szept umierającego Papieża. To słowo najmocniej kojarzy się z Jezusowym „Wykonało się”.

A z nami, ze światem coś zaczęło się dokonywać...

W obliczu wydarzeń na Watykanie świat złągodniał. Poczuliśmy wtedy, co znaczy być globalną wioską, Dramat, który rozgrywał się na Watykanie, rozgrywał się najbliżej nas, nie był faktem "historycznym", nie tyle "dotyczył" co właśnie "dotykał".

Zacząliśmy rozumieć wtedy, co znaczą słowa Chrystusa, o tym, że tam, gdzie dwoje gromadzi się w imię Boga, tam też Bóg nie skąpi swojej obecności. Zauważyliśmy niemal natychmiast, że w nieobecności, w braku, w pustce po ukochanym Ojcu świętym można było dostrzec zarys Tego, który nadchodzi. I okazało się, że obecność to nie musi być fizyczne uobecnienie. Obecność to zmiana nas samych, to przemiana naszej egzystencji, *metanoia*.

Chciałbym na jeszcze jedno zwrócić uwagę, choć to nie wyczerpuje absolutnie owej *ars moriendi* i tego, co my, naród wyciągnęliśmy z tej sztuki umierania w naszej żałobie. Chcę przypomnieć spokój.

Tak, spokój.

W jednym z komunikatów prasowych w tych ostatnich dniach podano: „Ojciec Święty jest spokojny i przygotowany”. „Spokojny i przygotowany”.

Te słowa mogły wydać się jako porażające. Ale to właśnie w tych słowach został ukazany pewien kierunek, została wskazana droga każdemu z nas.

Człowiek, który umiera, traci wszystko, siły, nadzieję, więzi z bliskimi, zostaje ogołocony ze wszystkiego. Właściwie, ostatnie, co mu zostaje – to czas. To jest jego czas. Nie nasz, ale jego. On odchodzi w wyłącznie “swoim” czasie. To jego jedyna własność. Ta godzina jest “jego” w sposób tak dogłębny i intymny, że nie sposób sobie tego nawet wyobrazić.

To, co zostawił nam Papież w tej swojej ostatniej, najdłuższej pielgrzymce kwietniowej, której kresu nie mogliśmy zobaczyć, to nauka wagi “naszego” czasu, godziny, która wszystkie określenia chronologii ma za nic, bowiem jest godziną bez daty.

Ta godzina, zauważmy jest uwolniona z chronologii, ale też tym bardziej uwolniona jest z harmonogramu, nie da się jej zaplanować, zorganizować, wypełnić wedle własnych zamiarów. I w takiej godzinie, uczymy się prawdy ponadczasowej, tej właśnie, że ponad naszą “władzą... jest jakaś potęga wyższa”.

Odchodził od nas ten, który był „spokojny i przygotowany”.

I ten jego spokój stał się naszym udziałem.

Byliśmy wtedy spokojni. Bo nasza teraźniejszość w pewien sposób została uwolniona od przyszłości. Czas się wtedy zatrzymał.

Zrozumieliśmy, że są sprawy na miarę naszego dziś. Nie warto, nie ma potrzeby wybiegać w przyszłość. Przecież nasze *dziś* określa tę przyszłość. Od tego *dziś* zależy jutro.

Ogarnął nas spokój. Może nie na długo, na pewno nie na zawsze.

Ale tamten czas, tamta żałoba zmieniła nas. Jednych dosięgła głębiej, innych tylko dotknęła, byli i tacy, którzy obnosili się z dumą „nie płakałem po śmierci papieża”.

I jedni, i drudzy żyliśmy i żyjemy obok siebie, ze swoją różnorodnością, ze swoją wrażliwością.

Ale ośmielę się powiedzieć, to my, którzy płakaliśmy, byliśmy i jesteśmy spokojni. Jest w nas moc. Jest w nas wspomnienie Jego słów, z pierwszego pożegnania, z 1979 r., z krakowskich Błoni:

I dlatego – zanim stąd odejdę, proszę was, abyście całe to duchowe dziedzictwo, któremu na imię Polska, raz jeszcze przyjęli z wiarą, nadzieją i miłością

– taką, jaką zaszczepia w nas Chrystus na Chrzcie świętym,

– abyście nigdy nie zwątpili i nie znużyli się, i nie zniechęcili,

– abyście nie podcinali sami tych korzeni, z których wyrastamy.

Proszę was:

- *abyście mieli ufność nawet wbrew każdej waszej słabości, abyście szukali zawsze duchowej mocy u Tego, u którego tyle pokoleń ojców naszych i matek ją znajdowało,*
- *abyście od Niego nigdy nie odstępili,*
- *abyście nigdy nie utracili tej wolności ducha, do której On wyzwala człowieka,*
- *abyście nigdy nie wzgardzili tą Miłością, która jest największa, która się wyraziła przez Krzyż, a bez której życie ludzkie nie ma ani korzenia, ani sensu.*

Proszę was o to...

To „proszę was” brzmi mocniej niż rozkaz. Ono zobowiązuje.... Jest testamentem, który musimy na nowo podjąć...